

MAREK
KRAJEWSKI
MARIUSZ
CZUBAJ

**aleja
samobójców**



Marek Krajewski (ur. 1966) – filolog klasyczny; najgłośniejszy dziś polski autor kryminałów. Twórca cyklu kryminalnego, na który składa się pięć powieści z dawnym Wrocławiem w tle. Ostatnia, *Dżuma w Breslau* (2007), ukazała się także w postaci audiobooka w interpretacji autora. Marek Krajewski jest laureatem wielu nagród, m.in. Paszportu „Polityki” za rok 2005 oraz Honorowej Nagrody Wielkiego Kalibru 2007 za wprowadzenie do literatury postaci Eberharda Mocka. Jego książki są tłumaczone na dwanaście języków. W przygotowaniu film fabularny oraz serial telewizyjny o śledztwach Mocka w reżyserii Patryka Vegi. Strona autora www.marekkrajewski.pl

Mariusz Czubaj (ur. 1969) – antropolog kultury, wykładowca w Szkole Wyższej Psychologii Społecznej w Warszawie, publicysta „Polityki”. Autor książek: *Biodra Elvisa Presleya. Od paleoherosów do neofanów* (2006), *W stronę miejskiej utopii* (2007) oraz (razem z Wojciechem J. Bursztą) *Krwawa setka. 100 najważniejszych powieści kryminalnych* (2007).

MAREK

KRAJEWSKI

MARIUSZ

CZUBAJ

aleja

samobójców

w serii ukazały się:

- Martha Grimes *Hotel Paradise*
 Martha Grimes *Stacja Cold Flat Junction*
 Martha Grimes *Hotel Belle Rouen*
 Jean-Claude Izzo *Total Cheops*
 Jean-Claude Izzo *Szurmo*
 Jean-Claude Izzo *Solea*
 Tomasz Konatkowski *Przystanek Śmierć*
 Marek Krajewski *Koniec świata w Breslau*
 Marek Krajewski *Widma w mieście Breslau*
 Marek Krajewski *Festung Breslau*
 Marek Krajewski *Dżuma w Breslau*
 Henning Mankell *Morderca bez twarzy*
 Henning Mankell *Psy z Rygi*
 Henning Mankell *Biała lwica*
 Henning Mankell *Mężczyzna, który się uśmiechał*
 Henning Mankell *Fałszywy trop*
 Henning Mankell *Piąta kobieta*
 Henning Mankell *O krok*
 Aleksandra Marinina *Kolacja z zabójcą*
 Aleksandra Marinina *Gra na cudzym boisku*
 Aleksandra Marinina *Ukradziony sen*
 Aleksandra Marinina *Złowroga pętla*
 Aleksandra Marinina *Śmierć i trochę miłości*
 Aleksandra Marinina *Męskie gry*
 Zygmunt Miłoszewski *Uwikłanie*
 Joanna Szymczyk *Ewa i złoty kot*



MRO CZYNA
SERIA

MAREK

KRAJEWSKI

MARIUSZ

CZUBAJ

aleja

samobójców

Copyright © by Mariusz Czubaj, Marek Krajewski, 2008
Wydanie I
Warszawa 2008

Prolog

Ciemność jest gęsta i lepka jak sadza. Ostry zielony promień jarzeniówki rozcina ciemność, lecz jednak jej nie rozjaśnia. Prześlizguje się przez wykrzywione kółko wózka inwalidzkiego. Kółko jest pokryte małymi plamami – zwiastunami rdzy i rozpadu. Promień dotyka swym ostrzem kraciatedego materiału. Zrobiony jest z niego wysoki wełniany kapeć, otulający stopę w pasiastej skarpetce. Z oddali słycać skrzywienie wózków, kołatanie światła w rozpalających się jarzeniówkach, stukanie talerzy, wesole okrzyki gromkich głosów w telewizorze na dole i śmiech z jakiegoś sitcomu.

Znika ostry promień, drży metalowa ościeżnica, pomieszane odgłosy milkną, jakby wchłonięte przez miękką gąbkę drzwi, przez głuche ściany obite korkiem. Znów słycać śmiech. Tyle że nie ma nic wspólnego z odgłosem, który przed chwilą dobiegał z serialu. Po chwili śmiech zamienia się w rżenie. A potem rozlega się głos – zachrypnięty i troskliwy.

– To nieuniknione. Nigdy nie przestaną cię dręczyć. Zawsze do ciebie przyjdą. Przedostają się przez

najmniejszą szparę w drzwiach. Przez ściany. I oto są. Są już blisko.

Znów śmiech i rżenie, a na dole długie oklaski i muzyka. Znak, że odcinek sitcomu się skończył.

– Sam nie wiem, co gorsze. Ich nieuchronna obecność czy ta imponująca precyzja, która tak nas zadziwia, prawda? Przyznaj, najgorzej jest z twarzą. To właśnie ta precyzja, to nieubłagane mistrzostwo sprawia, że twarz wygląda, jakby żyła własnym życiem. Każdy miesiąc, każdy nerw żyje z osobna. Najlepszy aktor tak nie potrafi.

Gwałtowny zgrzyt wózka niknie wśród odgłosów programu publicystycznego. Kilka podniesionych głosów nakłada się na siebie i trwa tak przez chwilę w gniewnym unisono. Po chwili fala emocji opada.

– Wiem, że cierpisz. Mogę skrócić twoje cierpienia. Chcesz tego? Wiem, że tego chcesz!

Znów pojawia się ostry promień. Wełniana skarpeta drży. Kapeć zsunął się ze stopy i leży teraz koło rdzewiącego kółka. Wygląda jak martwy pies.

Gdańsk, 18.06.2006, 11:00

Jarosław Pater szedł powoli ulicą Kartuską w stronę punktu zakładów sportowych „Profesjonal”. Pod ścianami szarych i ceglanych domów z lizajami graffiti walały się worki ze śmieciami. Było przedpołudnie, a nad miastem unosiło się widmo żaru, który nie puszczał od przeszło tygodnia. Pater czuł, że koszula przylepiła się już do pleców. Wirowało mu w głowie i wydawało mu się, że za chwilę zemdleje. Upałowi towarzyszył zawieszisty smród z kontenerów na śmieci. Pater dopiero

teraz rozumiał, jak potężną bronią dysponowali pracownicy zakładu oczyszczania miasta. To, że strajkowały kopalnie i huty, jakoś Patera nie obchodziło. Listów też się nie spodziewał. W najlepszym razie listonosze nie przyniosą nowych rachunków, zatem brak wiadomości to dobra wiadomość. Pociągiem też się nigdzie nie wybierał, a na niezaplanowane wizyty nie liczył. Pozostawali śmieciarze.

Przepełnione kontenery wypchnięto na ulicę. Dziurawe worki huczały od os, tłukących się w pustych plastikowych butelkach po coli i lemoniadicie, szerszenie wyrwały kawałki mięsa z nadgryzionych kurczaków, tłuste larwy wiły się w półotwartych puszkach mielonki, fetor nie pozwalał na swobodny wdech. Pater przypomniał sobie, że niedawno czytał coś o tym, że gdy społeczeństwo się różnicuje, to i rzeczy wyrzucane na śmietnik stają się bardziej różnorodne. „Teraz to trzeba uważać nie tylko na to, co masz, ale i na to, czego się pozbywasz” – przypomniał sobie, co mówił jego podwładny, Kulesza, gdy gwiazdor mediów i zarazem ekspert udzielający porad w kolorowych pismach wyrzucił na śmietnik serię kompromitujących go zdjęć. „Ten to przynajmniej miał portfolio” – jeszcze raz wspomniał, co mówił wtedy Kulesza. „Portfolio”? Skąd tamten, do licha, znał to słowo?

Pater potrącił nogą puszkę po piwie „Gdańskim”. Puszka potoczyła się po bruku, czyniąc sporo hałasu. Jakaś młoda kobieta odganiająca osę od śpiącego w wózku dziecka spojrzała na mężczyznę z niechęcią. Wbiło mu się w pamięć jej spojrzenie. Nieczęsto zdarzało się, żeby ten czterdziestolatek wzbudził zainteresowanie przechodniów, żeby ten szczupły, lekko siwiejący brunet kogokolwiek zaintrygował, musiałby

chyba walić dzidą w tarczę i śpiewać rytualną pieśń – jak dyżurny szaman piłkarskiej drużyny Ghany, którego obrzędy były na tyle skuteczne, że podczas niemieckich mistrzostw świata w piłce nożnej jego drużynie uległa wczoraj zero do dwóch jedenastka faworyzowanych Czechów.

Pater – w odróżnieniu od wszelkich szamanów – był człowiekiem niepozornym, małomównym i skrytym. Jego anonimowość zniknęła jednak częściowo wraz z przekroczeniem progu salonu bukmacherskiego. Kiedy tam wchodził, minawszy oplutą – jak zwykle – tabliczkę, zakazującą palenia tytoniu i spożywania alkoholu w obrębie lokalu, na zalanej słońcem sali zapadała cisza. Wszyscy wiedzieli, że w niedzielne przedpołudnie odbiera pieniądze z trafnie wytypowanych zakładów. Hazardziści siedzący wokół pokrytych laminatem stołów, zaciskający popsute zęby na słabo naostrzonych ołówkach, przewracający kartki z zakładami w przetłuszczonych segregatorach, pozdrawiali go i kordialnie, i złośliwie, nazywali „ekspertem”, wbijali w niego wzrok i usiłowali wywnioskować z jego zachowania, ile pieniędzy dziś odbierze.

*Gdańsk, punkt zakładów sportowych „Profesjonął”,
18.06.2006, 11:30*

Pater, zwijając pięćdziesięcio- i stułotówki w ruloniki, rzucał zainteresowanym tylko liczbę zakładów akumulacyjnych, które obstawiał, i na tym kończyła się jego słowna aktywność. Potem przysłuchiwał się rozmowom i komentarzom, przeglądał statystyki i po godzinie wychodził. Nie zdradzał się ani słowem. Ano-

nimowość go radowała, anonimowość nadawała sens jego życiu.

Pater wyczuwał tu, w salonie, kiedy nadchodziła zima – martwa pora roku. Polskie ligi piłkarskie zapadały w letarg, do salonu wkraczali wtedy sezonowi specjaliści od skoków narciarskich, Małysza, Ahonena, czterech skocznii i subtelnych dyskusji o ruchu bioder na progu. Ruchy bioder kojarzyły się Paterowi z czymś zupełnie innym, co w jego przypadku coraz bardziej było teoretyczne.

Teraz jednak w najlepsze trwało lato o zawieszonym zapachu, którym przesiąknięte były nawet bukmacherskie kupony. Tej niedzieli, kiedy już niebieskie tipsy kasjerki policzyły banknoty, kiedy już odebrał tysiąc złotych za trafne wytypowanie kilku wyników, kiedy w końcu usiadł, rzucił liczbę „dziesięć”, a swój sukces wytłumaczył działaniem szamana z Ghany, poczuł, że w lepką koszulę wzrok wbija otyły, łysy hazardzista, który mało co obstawiał, za to wygłaszał komentarze na tematy ogólne. Staszek, podobnie jak „ekspert”, uchodził tu za mędrca, jego głos urozmaicał i podsumowywał zażarte dyskusje, jakie toczyli między sobą inni hazardziści.

Po ich zajadłych, jałowych sporach, na przykład o wpływie kontuzji jakiegoś drugoligowego piłkarza norweskiego na kondycję zespołu Kongsvinger, Pater z wyraźną ulgą witał rozwlekłe wywody Staszka i poświęcał im całą swoją uwagę. To zresztą podsuwało różne pomysły bywalcom salonu na temat profesji milczącego gracza. „To pewnie belfer – mrucał jeden do drugiego – zobacz, jak się dogaduje ze Staszkiem. A Staszek uczył peo w technikum, mają tematy, sku-

bańce!” „Nie dałbym takiemu – odpowiadał drugi – mojej córce na uczenie! To nałóg, hazardzista!”

– Ekspert – zaczął Staszek, jakby słyszał te niegdyśjsze hipotezy – czy ty jesteś nałogowcem, ślepym hazardzistą? Nie czerpiesz przyjemności z zakładów? Przyjemność nie polega na trzepaniu kasy?

– A na czym niby polega? – zapytał z uśmiechem Pater, słysząc, jak milkną rozmowy w salonie, a kasjerka głośno ziewa.

– Dam ci przykład. – Staszek wyjął chustkę z kieszeni, włożył ją pod opięty T-shirt z napisem „Piwo jest jak sex” i wytarł pot spod pach. – Masz sto złotych, idziesz z kolegą na wódkę do knajpy, co nie? Wypiełeś, pojadłeś, postawiłeś kumpłowi, wszystko gra, co nie? Zamówiłeś taksówkę, pojechałeś do chaty. Dobrze się bawiłeś czy źle?

– Dobrze – odparł Pater.

– No i gra – Staszek wytarł tym razem pot z łysiny tą samą chustką. – Tak samo jest z zakładami. Wydajesz na przykład stówę na ostatni finał Ligi Mistrzów, nie? Stawiasz stówę na Barcelonę. I wygrywasz sto pięćdziesiąt złotych. Okej, wszystko gra, co nie? Bawiłeś się dobrze i wygrałeś. Ale, dajmy na to, postawiłeś na Arsenal i przegrałeś. Też się dobrze bawiłeś czy źle? Dobrze. Były emocje? Były. Jak Campbell strzelił bramę, omal nie oszalałeś. Bawiłeś się dobrze? Dobrze. Tak jakbyś dobrze się bawił, pijąc z kumplem. I tu, i tu straciłeś kasę, ale i tu, i tu dobrze się bawiłeś. Jeśli tego nie pojmujesz, jesteś nałogowcem. No co, pojmujesz?

Pater nie zdążył odpowiedzieć, kiedy zadzwoniła komórka. Wyjął ją z kieszeni. „Numer prywatny” – mięgało na ekranie nokii. Wszyscy umilkli, nawet kasjerka przestała ziewać i odpisywała pracownicy na jakiegoś

esemesa, czego nie ułatwiały jej tipsy. Pater wahał się przez chwilę. Po szóstym sygnale odebrał.

– Kierowniku! – usłyszał w słuchawce wrzask swojego współpracownika. – Znowu. Stało się.

– Zaraz oddzwonię – przerwał mu Pater i się rozłączył. Zobaczył, że obudowa telefonu stała się lepka. Tym razem był to jednak inny rodzaj potu. Wszystko przez ton głosu Wielocha. Ostatni raz słyszał to trzy lata temu. Gdy na dryfującej żaglówce znaleźli ciała dwóch studentek. „Znowu”. Znow stało się coś, co go wytrąci z normalnego biegu spraw.

W zasadzie już to się stało. Wystarczyło jedno spojrzenie na otaczających go ludzi. Zdawało się, że nad stołem dźwięczy krzyk, jaki wydał z siebie jego współpracownik. Czuł wzrok wszystkich z wyjątkiem kasjerki, która wystukiwała miłosne wyznania. Patrzyli na niego w milczeniu. Już wiedzieli, że nie jest nauczycielem.

*Droga pomiędzy Gdańskiem a Rozewiem,
18.06.2006, 13:05*

Biały opel astra wjechał w suchy sosnowy las między Chłapowem a Rozewiem i zwolnił. Wyprzedzali go rozwścieczeni kierowcy, z rodzinami wracający z morskich plaż i marzący o porcji smażonej ryby i szklanicy piwa. Byli spuchnięci od upału, zmęczeni okrzykami dzieci, poirytowani upomnieniami żon i sfrustrowani niedawnym widokiem atrakcyjnych kobiecych ciał. Wydawało im się, że kierowca opła robi im na złość i specjalnie jedzie sześćdziesiątką, aby oddalić od nich szczęśliwą chwilę wytchnienia nad

tekturową tacką, plastikowymi sztućcami i pianistą cieczą w plastikowym kubku. W głębokim przekonaniu, że ślimaczący się samochód jest prowadzony przez kobietę, mijali go z rykiem pochodzącym z dwóch źródeł – z silnika i z ich własnego gardła.

Wtedy się okazało, że ich przypuszczenia są nieprawdziwe. Za kierownicą siedział bowiem szczupły, szpakowaty mężczyzna. Nie zwracał najmniejszej uwagi na poirytowanie mijających go kierowców i wypatrywał wśród drzew bocznej leśnej drogi. W końcu ją dojrzał. Samochód zwolnił i skręcił, a potężny ryk klaksonu jadącej za nim terenówki, która wjechała na przeciwległy pas, w ostatniej chwili omijając tył opla, świadczył o tym, że kierunkowskaz został za późno włączony.

Jeszcze dwa tygodnie – pomyślał Pater. Dwa tygodnie, i zacznie się sezon. Wolnoamerykanka na drogach, zastawione samochodami ścieżki rowerowe, małolaty na motorowerach jadące pod prąd. I korki. Tłuszcza ciągnąca z Władysławowa do snobistycznej Juraty, by pouprawić „ocieractwo”, czyli – wspomniał znów Kuleszę – pocierać się o jakichś *beautiful people*, bohaterów rubryk towarzyskich, i zjeść dorsza, jak głosiły napisy, z „nocnego połowu”. Pater pomyślał z wyraźną satysfakcją o urlopowiczach, którzy nie wiedzą, że połów może być i nocny, tyle że w lutym, bo w lecie, gdy właśnie wygrzewają się na piachu, dorszy łowić nie wolno. Przez głowę przemknęła mu też myśl, że aspirant Kulesza ze swoimi powiedzeniami staje się dla niego żywym klasykiem. Pater mógłby myśleć o czymkolwiek, byle tylko odsunąć w czasie obrazy wywoływane gardłowym głosem innego ze swoich podwładnych. Gdy wyszedł z salonu, oddzwo-

nił i usłyszał, gdzie ma jechać, wiedział, że najgorsze przypuszczenia się potwierdzają. Przystań dla ludzi samotnych i starych oraz zbrodnia, która dopadła to miejsce.

Zdezelowany służbowy opel jechał powoli szeroką leśną drogą, starannie wysypaną jasnym żwirem. Droga miała nawet mały krawężnik i pobocze z czarnego żwiru. Po kilkuset metrach dochodziła do wielkiej bramy, na której – w towarzystwie trzech obrotowych kamer – był szyld z napisem Dom Seniora „Eden”. Kierowca astry wyciągnął rękę i nacisnął guzik domofonu. Brama uchyliła się z lekkim skrzypieniem. Po chwili za szybami opla wyrósł potężny dwuskrzydłowy budynek z szerokim podjazdem. Auto zatrzymało się na podjeździe przed wysmukłymi kolumnami z piaskowca. Spomiędzy kolumn wyskoczył niewysoki, zażywny czterdziestokilkulatek w nieskazitelnie białym fartuchu. Starannie wygolony zarost na jego twarzy mienił się sino.

– Dzień dobry! – krzyknął mężczyzna w lekarskim fartuchu. – Czy mam przyjemność powitać nadkomisarza Patera?

– Ani „dobry”, ani „przyjemność”, ani „Patera” – cicho powiedział szpakowaty mężczyzna, wysiadł z samochodu i wszedł do budynku, bez słowa minawszy lekarza oraz stojącego w drzwiach wysokiego młodego człowieka o różowej skórze i sporej nadwadze.

Lekarz podszedł do mężczyzny w drzwiach i powiedział pełnym oburzenia głosem, wbijając wzrok w jego rude loki, przyklejone potem do czoła:

– Co to za nieprzyjemny facet, nawet nie raczył mi odpowiedzieć „dzień dobry”! Nie lubię współpracować z takimi... On zawsze taki jest, panie aspirancie?

– Tylko wtedy... – aspirant otarł pot wierzchem dłoni i przez chwilę przypatrywał się wizytówce „Dr Andrzej Libling. Dyrektor” przypiętej do fartucha swojego rozmówcy – ...kiedy się odmienia jego nazwisko „Pater”, „Patera”, „Paterowi” i tak dalej.

– Jak się powinno odmieniać? – spytał zdumiony Libling.

– Bez „e” – odparł aspirant. – „Pater”, „Patra”, „Patrowi”...

– Tylko dlatego tak się impertynencko zachował? – Z twarzy Liblinga nie schodził wyraz złości. – Bo źle odmieniłem jego nazwisko? Tylko dlatego?

– Kierownik ma bzika na punkcie poprawnego mówienia. I każe odmieniać swoje nazwisko w ten sposób. To tyle. Każdy ma jakiegoś bzika.

– I tylko z powodu swojego bzika potraktował mnie jak psa? – Doktor Libling sprawiał wrażenie, jakby chciał się rozplakać. – Ja do niego: „Przyjemnie pana poznać”, a on do mnie: „Wcale nie jest przyjemnie...” Jak tak można? No to powiem panu, że jeśli policja będzie zajmowała się problemami lingwistycznymi, zamiast łapania przestępców, to wyniki będziecie mieli jeszcze gorsze, niż macie.

Libling odwrócił się na pięcie i chciał odejść, gdy zatrzymał go głos:

– Dlaczego włożył pan lekarski fartuch? Nie musi pan odpowiadać. Tam jest dużo krwi, prawda? Bał się pan, że zaplami sobie garnitur, który pewno tani nie był. – Wieloch znów wpatrywał się w twarz Liblinga. – Dam panu radę. Pater nie jest kolejnym klientem, który chce oddać w pańskie ręce następnego dzianego staruszka. Jeśli nie będzie pan z nim współpracował, za każdym razem sprowadzi tu piekło. Będzie jak wściekły pies, który rozszarpie na strzępy pański cenny garnitur. Rozszarpie tak, że nawet Versace tego nie zszyje.

Libling popatrzył na strużkę potu spływającą po skroni Wielocha.

– Jak to mówią: dobre rady zawsze w cenie.

Aspirant nie odpowiedział doktorowi. Wszedł po schodach na pierwsze piętro i skręcił w szeroki korytarz. Zbliżył się do otwartych drzwi pokoju, w którym błyskały flesze. Zajrzał tam. Pomyślał, że nadkomisarz miał rację. Tu wcale nie było przyjemnie.

Dom Seniora „Eden”, 18.06.2006, 13:15

Pokój numer sto czternaście zalany był słońcem. W tym słońcu pocilo się trzech mężczyzn. Dwaj z nich byli ubrani zupełnie nieestosownie do warunków atmosferycznych. Mieli na sobie identyczne czarne kombinezony. Na stopach mieli podobne kryte buty, a na dłoniach takie same białe lateksowe rękawiczki. Na tym nie kończyło się ich podobieństwo. Przeguby rąk obu z nich przysypane były talkiem, a ich głowy – ostrzyżone prawie do gołej skóry. Wykonywali podobne, pewne ruchy. Jeden kuczał przy wózku inwalidzkim, drugi małym pędzelkiem oczyszczał blat

biurka. Jarosław Pater różnił się od nich i ubiorem, i fryzurą, i zachowaniem. Miał na sobie dzinsy i prążkowaną koszulę z krótkim rękawem. Sztywne szpakowate włosy jeżyły się nad czołem. Stał w oknie, błędził zamyślnym wzrokiem wśród starych drzew i nie zwracał najmniejszej uwagi na to, co się działo w pokoju. W słońcu lśnił staw, gdzieś daleko dostrzegł starszego mężczyznę, spacerującego w towarzystwie młodej kobiety, zapewne pielęgniarki. Najwyraźniej życie w domu toczyło się swoim rytmem. Ktoś pewnie powiedział już Liblingowi, by zachował dyskrecję i nie opowiadał pensjonariuszom oraz personelowi, co się tu właściwie stało. Co jakiś czas któryś z techników podnosił głowę i referował coś dwóm mężczyznom, którzy wypełniali dokumenty.

Pater chciał odwlec chwilę, gdy będzie musiał zmierzyć się z widokiem martwego ciała. Odkąd dwa lata temu przeżył załamanie nerwowe, starał się unikać konfrontacji twarzą twarz ze śmiercią. Tym razem czuł jednak, że ma dodatkowy powód, by nie patrzeć na mężczyzn wciąż pracujących w milczeniu. Pater wychylił się z okna i dopiero teraz po prawej stronie zobaczył dwa policyjne samochody i kilka innych, pewnie prywatnych. Wyglądało na to, że tylko on zaparkował od frontu. Nad boczną bramą zaczęły pulsować dwa pomarańczowe światła. Najwyraźniej kolejne auto wjeżdżało na teren ośrodka.

– Powiedz mi, Pawle – Pater powoli cedził słowa, nie przestając podziwiać pięknego, starego parku – jak się tutaj znalazłeś? Patomorfolog na niedzielnym dyżurze? Przecież nie wzywa się was w sytuacjach podbramkowych. Żaden medyk sądowy się nie śpieszy. Nikomu już nie uratuje życia. Po co wam dyżury?

– My nie mamy żadnych dyżurów. – Kucający mężczyzna wstał i obdarzył Patera mało przychylnym spojrzeniem. – Byłem z żoną na plaży w Jastrzębiej Górze. Sam wiesz, co się będzie działo za dwa tygodnie. Nie wyłączyłem komórki. Zadzwoił Jaworski i poprosił, żebym tu przyjechał. Odmówiłem. Coś podpowiedziało mi jednak, że nie powinienem wyłączać komórki. I miałem rację. Za pięć minut zadzwonił profesor Gromek z Tunezji. Jest tam na wczasach. Jemu już nie mogłem odmówić. Dlatego tu jestem.

– To musi być jakaś ważna sprawa, skoro szef ABW dzwoni do twojego szefa, przebywającego w Tunezji. – Pater pokiwał w zamyśleniu głową. – Dziwne...

– Co jest dziwne? – W głosie patomorfologa zabrzmiała nuta irytacji.

– To, że ciebie ściąga z plaży twój szef, a ja o całej sprawie dowiaduję się od mojego podwładnego...

– Czyżbyś cierpiał na niedowartościowanie?

– Wieloch – Pater zwrócił się do stojącego w drzwiach aspiranta – to ty zawiadomiłeś naczelnika Cichowskiego o sprawie?

– Chyba tak! – służbiście wrzasnął podwładny Patera. – Miałem dzisiaj dyżur, zadzwonił do mnie koło jedenastej dyrektor Libing, a ja do pana, szefie. Nie mogłem się dodzwonić do naczelnika, wyłączył komórkę. Nagrałem mu się i powiedziałem, że dzwonię do pana... Potem pojechałem i zastałem tutaj doktora Kwiecińskiego i Jurka...

– Libling, nie Libing. – Pater potarł dłonią niedokładnie ogolony podbródek. – No to naczelnik wie od ciebie o tej całej sprawie... O której mu się nagrałeś?

– O jedenastej! – Wrzask Wielocha był jeszcze donośniejszy.

– A o której naczelnik Cichowski do ciebie zadzwonił, Pawle? – Pater spojrzał na medyka sądowego.

– Zaraz sprawdzę w komórce. No nie, akurat wykasowałem wszystkie połączenia. – Zirytowany doktor Kwieciński ocierał łysinę.

– A do ciebie kto dzwonił? – Pater zwrócił się do technika Jurka.

– Nasz stary. Dzwonił pod numer domowy. – Jurek nie odrywał się ani na chwilę od swej pracy. – Nie wiem dokładnie o której.

– Kurwa, mam dość – zasyczał zimny doktor. – Przesłuchujesz nas, Jarek, czy co? Nie masz nic lepszego do roboty? Widziałeś kiedykolwiek taką jatkę? W pokoju leży facet oporzędzony jak prosię, a ty cierpisz na urażoną ambicję, bo nie zadzwonił do ciebie ten, co powinien? Lepiej odwróć swój sokoli wzrok od starodrzewu w parku i spójrz na to, co się tutaj dzieje!

– Nie używaj wulgaryzmów, Pawle – skrzywił się Pater i po raz pierwszy spojrzał na trupa leżącego obok wózka.

Dom Seniora „Eden”, 18.06.2006, 13:20

Nie był to widok, który ktokolwiek chciałby długo pamiętać. Mężczyzna leżący na podłodze miał na stopach wygodne obuwie sportowe. Wystawały z niego skarpetki, opinające grube, owłosione łydki. Nogawki spodni były zrolowane i odsłaniały nogi prawie do kolan.

– Nogawki są w takim stanie, jakby ktoś usiłował je podciągnąć – powiedział do dyktafonu nadkomisarz Pater.

Na szarych spodniach, w okolicach pachwin, widniało kilka jasnożółtych plam. Pater przyjrzał im się dokładnie. Był to jakiś płyn lub wydzielina. Plamy zdążyły już stężeć, stwardnieć i nieznacznie pomarszczyć te kilka centymetrów kwadratowych materiału, które zostały przez nie pobrudzone.

– Jakiś płyn na nogawce – Pater starannie dobierał wyrazy – przypominający... przypominający..

– Zabrakło ci słowa, Jarek? – uśmiechnął się Kwieciński. – To nie to, o czym myślisz, zapewniam cię, nie to...

– Co zatem?

– Spójrz na jego palce. To właśnie to, co znajduje się na jego palcach.

Pater przesunął wzrok ponad biodrami i brzuchem trupa. Leżał na prawym boku. Całym tułowiem przyciskał swoją prawą rękę. Przedramię wznosiło się ku górze.

– Jakby spał, a jego głowa spoczywała na prawym ramieniu – skomentował Pater do dyktafonu.

Lewa ręka nie leżała – jak prawa – w pozycji naturalnej. Lewa dłoń dotykała prawej, ścisnęła ją i obejmowała.

– Tak nieraz śpią dzieci. – W pamięci dyktafonu odciskał się dokładny opis miejsca zbrodni. – Dłoń pokrywa się z dłonią, jedna dłoń przykrywa drugą. Z tą różnicą, że małe dzieci na tych połączonych dłoniach opierają policzki i smacznie śpią. A tutaj te dłonie znajdują się w odległości około trzydziestu centymetrów od twarzy.

– Te dłonie – westchnął ciężko Kwieciński – wcale się nie pokrywają, jedna wcale nie przykrywa drugiej. Przyjrzyj im się dobrze.

Pater pochylił się nad dłońmi trupa, wsuwając głowę w gęsty snop słonecznego światła. Oświetlało ono leżący obok ciała potężny cynowy puchar. Oblepiony był krwią, na jej powierzchni były pojedyncze siwe włosy. Pater poczuł wtedy na czole – po raz pierwszy dzisiaj – lepkie, zimne strugi. Poczuł coś jeszcze: zapach dobrze znany z głębokiej podstawówki, gdy założył się z kolegami z klasy, że wypije tubkę kleju „Hermol”. Bruzdami czoła popłynęła kropla, błysnęła w słońcu i rozprysła się obok połączonych dłoni denata. Rzeczywiście, jedna nie przykrywała drugiej, połączone były nie one, lecz ich palce. Kciuk lewej z kciukiem prawej, palec wskazujący lewej z palcem wskazującym prawej. Kwieciński wyjął skalpel i włożył go delikatnie pomiędzy opuszki. Posypało się kilka okruchów.

– Opuszki palców – powiedział do dyktafonu Pater – zostały połączone, ściśle mówiąc, sklezione jakimś klejem typu „Super Glue”.

– Gdyby te dłonie odgiąć nieco od siebie – Kwieciński powiedział to bardzo głośno, tak aby nagrało się na dyktafon – powstałaby figura geometryczna, nie pamiętam, jak się nazywa, to trochę jakby kopnięty kwadrat, postawiony na jednym ze swoich czubków. To jakby latawiec.

Pater chciał poprawić sformułowanie „kopnięty kwadrat” na „romb”, a „czubki” na „wierzchołki”, lecz widok głowy denata odebrał mu jakąkolwiek ochotę do normatywnych wywodów. Na potylicy, nieco powyżej uszu, kończyła się linia siwych, zlepionych krwią włosów. Nad tą linią już ich nie było, błyszczała tam tylko biała kość czaszki – tak gładka, że opływające ją ze wszystkich stron, zastygłe strumyki krwi były wą-

skie i porozrywane. Czerwono-biała czaszka kończyła się mniej więcej na wysokości czoła. Pater ukucnął i spojrzał od dołu w twarz trupa. Zobaczył brodę i nos zabitego. Oczu nie widział. Całkiem je przykrywała wywinięta skóra głowy z siwą szczecina włosów.

– Ktoś mu roztraskał głowę ciężkim, tępym przedmiotem, możliwe, że właśnie tym pucharem – powiedział wolno Kwieciński.

– A potem oskalpował. – Milczący dotąd mężczyzna podniósł się i rozprostował plecy.

Teraz Pater rozumiał już, co mu Wieloch chciał powiedzieć przez telefon. Znowu. Po raz drugi tego dnia czoło zalewała mu gęsta, zimna fala.

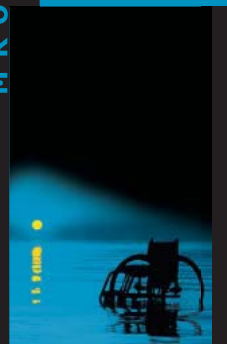
Dom Seniora „Eden”, 18.06.2006, 13:50

Okna pokoju dyrektora Liblinga – ku wielkiej uldze Patera – wychodziły na niesłoneczną stronę świata. Większość tego ogromnego pomieszczenia zajmował stół konferencyjny, obity zielonym suknem. Łokcie nadkomisarza Patera opierały się o stół, a splecione palce były podstawką dla brody. Policjant siedział nieruchomo jak Sfinks, jedynie oczy błędziły po ciemnych półkach z książkami, po ogromnym mahoniowym biurku i po starych mapach Wolnego Miasta Gdańska.

– To oryginały – dyrektor Libling wpatrywał się ze złością w Patera. – Wszystko, co pan widzi, było tutaj przed wojną. W pokoju dyrektora gimnazjum, bo w tym budynku mieściła się szkoła. Chyba pan się nie dziwi, że wybrałem to miejsce zamiast dusznej atmosfery warszawki.

Pater był człowiekiem niepozornym, małymównym i skrytym. Jego anonimowość zniknęła jednak częściowo wraz z przekroczeniem progu salonu bukmacherskiego. Kiedy tam wszedł, minąwszy oplotą tabliczkę zakazującą palenia tytoniu i spożywania alkoholu, w sali zapadła cisza. Wszyscy wiedzieli, że w niedzielne przedpołudnie odbiera pieniądze z trafnie wytypowanych zakładów. Hazardziści siedzący wokół pokrytych laminatem stołów, zaciskający popsute zęby na słabo naostrzonych ołówkach, przewracający kartki z zakładami w przetłuszczonych segregatorach, pozdrawiali go i kordialnie, i złośliwie, nazywali „ekspertem”, wbijali w niego wzrok i usiłowali wywnioskować z jego zachowania, ile dziś odbierze.

fragment



Czerwiec 2006 roku, luksusowy dom seniora „Eden” pod Gdańskiem. W jednym z apartamentów znaleziono martwego pensjonariusza na wózku inwalidzkim. Mężczyzna został zamordowany i oskalpowany. Inny mieszkaniec „Edenu” – emerytowany profesor, znawca chirurgii rytualnej i sekt – tej samej nocy znika bez śladu. Sprawę niemal natychmiast przejmuje ABW. Odsunięty od śledztwa nadkomisarz Jarosław Pater mimo wyraźnego zakazu rozpoczyna nieformalne dochodzenie. Dlaczego zwłoki zostały okaleczone? Czy niechęć dyrektora ośrodka do Patera jest czysto osobista? Dlaczego ABW wkracza do akcji i tak zazdrośnie strzeże tajemnicy? Kto wysyłał profesorowi esemesy z pogroźkami? Jakie tajemnice kryje „Eden”? Krok po kroku Pater zbliża się do prawdy...

Miłośnik jazzu, znawca piłki nożnej (ale podchodzący do niej czysto instrumentalnie) i posiadacz mocno zdezelowanej toyoty, jest Pater dobrym punktem wyjścia do opisu polskiego społeczeństwa z czasów „IV RP”. I ten świat, który stoi na patologii, i konstrukcja bohatera uzasadniają użycie przymiotnika „czarny” obok słowa „kryminal”.

z recenzji wydawniczej



Cena 34,90 zł